

Zagrajcie mi ale skocznie!

Bartholomaeus Grill

O tym, jak brat Autora, Urban, zdecydował się na samobójczą - godną - śmierć w klinice Dignitas

*

Der Tod ist groß.
Wird sind die Seinen
Lachenden Munds.
Wenn wir uns mitten im Leben meinen,
Wagt er zu weinen
Mitten in uns.

*

Wielka jest śmierć.
Wciąż z naszych krtani
Słysząc jej śmiech.
Gdy w pełni życia mamy ją za nic,
Płakać w otchłani
Dusz naszych śmie.

*

Urban ma 46 lat, czeka go straszna śmierć. Decyduje się na "godną śmierć" i jedzie do Zurychu. W ostatnich godzinach życia prosi swoje rodzeństwo o spisanie tej historii.

I oto nadchodzi chwila, której matka obawiała się najbardziej. Chwila przerastająca siły każdej matki. Jej syn zaraz wstanie ze swojego miejsca przy stole, tego miejsca, gdzie zawsze zwykł siadać, pod krucyfiksem. Powie: Byłaś najlepszą matką świata, dziękuję ci za wszystko. Ale teraz czas na mnie.

Potem wyjdzie po raz ostatni z kościoła z charakterystycznym sklepieniem. Tym razem matka mu nie towarzyszy. Po raz pierwszy nie rusza się ze swojego zwykłego miejsca w kuchni i tylko nasłuchuje jego oddalających się kroków w przedsionku.

Urban zatrzymuje się jeszcze na moment przy wjeździe na podwórzec, jest ciepły dzień późnej jesieni, światło ma złotawą bursztynową barwę. Ma na sobie swój skórzany czarny płaszcz, okulary przeciwsłoneczne. Jeszcze raz rozgląda się wokół siebie. Wiejski dom. Sad. Kurnik. Stodoła z pustym bocianim gniazdem na szczycie dachu. Po chwili wsiada do samochodu. Tak zaczyna się jego ostatnia podróż, podróż po śmierć, z Górnej Bawarii do Szwajcarii, do Zurychu, do Dignitas, organizacji wspomagającej śmierć na własne życzenie. Jest godzina 8.35 rano, 25 listopada 2004 roku, samochód wjeżdża na autostradę nr 15. Urban wie, że za około 30 godzin nie będzie żył.

Dzień, w który zdecydował się na tę podróż bez powrotu, to był 30 października. Tego dnia był ze swoją siostrą u terapeuty medycyny naturalnej stosującym biologiczne cytostatyki, "niezwykłą metodę", jak podkreśla. Ale po trzygodzinnym posiedzeniu poddaje się: Czemu nie zgłosił się pan ze swoim rakiem znacznie wcześniej? Niestety,

teraz na wyleczenie jest najprawdopodobniej za późno. Ponieważ nadzieja wydawała się być tak niewielka, Urban zrezygnował i z tej ostatniej szansy. W drodze powrotnej dostał ataku szału, niemalże wyskoczył z pędzącego samochodu. Siostra zdołała go powstrzymać krzykiem. Wrócili do domu i jeszcze tego wieczora zdecydował: Dość tego!

To było jakoś w marcu, jak Urban po raz pierwszy wspominał o "wspomagany samobójstwie", w Ameryce odłączono właśnie aparaturę podtrzymującą przy życiu - a może umieraniu - Terri Schiavo po 15 latach śpiączki. Widział demonstrujących z transparentami, na których wielkimi literami wypisano "MORDERCY!". To przecież nienormalne, komentował, usypia się każde śmiertelnie chore zwierzę, a wobec człowieka to przestępstwo. Że niedługo sam znajdzie się w sytuacji, w której będzie sobie życzył jak najszybszej śmierci, tego by nie przewidział w najokropniejszym scenariuszu. Urban był optymistą. Oczywiście że wygra walkę z tym cholernym rakiem.

>>> Po czterokrotnym badaniu tkanki diagnoza nie pozostawia wątpliwości<<<

Niecałe pięć miesięcy później, w sierpniu, Urban prosi starszego brata, żeby nawiązał kontakt z Dignitas. Bardzo starannie czyta dokumenty, które wkrótce w odpowiedzi nadchodzą z Zurychu. Żyć godnie, umrzeć godnie - już samo to, że takie awaryjne wyjście z sytuacji jest możliwe, uspokaja go, łagodni złość na Boga i świat. Rodzeństwo jest przerażone. Kielich z trucizną dla naszego brata? Nie do pomyslenia, absolutnie wykluczone.

Urban zapisuje się do Dignitas, tylko ten, kto jest członkiem, ma prawo skorzystać z usługi organizacji, w "samobójstwie wspomaganym". Wpłaca wpisowe i minimalną roczną składkę, razem 150 franków. W tym czasie ma już za sobą decyzję o przerwaniu intensywnej chemioterapii, czuje się fatalnie, skarży się, nie jestem królikiem doświadczalnym, jestem człowiekiem, któremu przysługuje to ostatnie prawo: wspomagana dobrowolna śmierć. Pomóżcie mi, wiem, że wymagam od was czegoś ponad wasze siły. Co mieli mu powiedzieć, po tym jak przeszedł Golgotę chorego na raka, sami doprowadzeni do granic wytrzymałości.

Na wysokości miasteczka Forstinning samochód wjeżdża na A 94, Urban opuszcza rodzinną okolicę. Jedzie w towarzystwie siostry, brata i Jo, bliskiego przyjaciela, który swój pojazd, firmową furgonetkę, na ten cel przerobił w prowizoryczną karetkę pogotowia. Wszyscy mają nadzieję, że w trakcie podróży nie dojdzie do żadnych medycznych komplikacji. Urban leży z tyłu na fotelach, zasłonki są zaciągnięte, podzemuje. Siostra, z zawodu asystentka w praktyce lekarskiej, spakowała wszystko co potrzebne, lekarstwa, strzykawki, przyrządy pomiarowe, bandaże, gumową butelkę z ciepłą wodą dla jego zimnych jak lód stóp. Pielęgnowuje brata od dziewięciu miesięcy z siostrzanym oddaniem, jest niebywale silna, ale w tej podróży i jej siły zawodą.

Zaczęło się ropiejącym wrzodem po lewej stronie języka. Jakies zakażenie, myśli początkowo Urban, ale okropny ból staje się nie do wytrzymania. Wizyta u dentysty, u laryngologa, próbka tkanki do zbadania, po trzech dniach wyniki: pT3 pNO G 2-3 R1 MO nowotwór z lewej strony jamy ustnej. Rak języka w zaawansowanym stadium, szanse przeżycia co najwyżej 50 procent. To było 18 marca 2004, na dwa dni przed jego czterdziestymi szóstymi urodzinami. Po trzech kolejnych biopsjach badanie histologiczne potwierdza się.

>>>Coraz trudniej o oddech, ból staje się torturą<<<

23 kwietnia pierwsza operacja w klinice uniwersyteckiej w Monachium-Grosshadern, powolny powrót do zdrowia i nieoczekiwane krwotoki tętnicze, natychmiastowa operacja. Wydawało się, że utonę we własnej krwi, opowiada Urban na oddziale operacyjnym. Ale potem widoczna poprawa. "24 maja 2004 powtórne badanie tkanki, rak usunięty w całości", mówi zapis w historii choroby w archiwum kliniki. Nadspodziewana poprawa, Urban znowu może normalnie jeść. Wybiera się z rodzeństwem do restauracji, "u Roberta", jego ulubionej, udaje mu się zjeść fileta z sandacza, po odrobinie, na czubku widelca, trwa to prawie godzinę, ale udaje się. Nadzieja powraca. Monachium, wewnętrzna obwodnica, duży ruch, furgonetka sprawnie porusza się wśród samochodów.

Jest czerwiec. Zaczyna się terapia naświetleniowa, pięćdziesiąt godzin bombardowania bioelektrycznego, dzień w

dzień. Niszczenie chorego miejsca ale jako efekt uboczny nie do uniknięcia dewastacja zdrowej tkanki powoduje serię zabliznień i w konsekwencji całkowitą blokadę szczęki. Usta otwierają się na dwa milimetry, jedzenie jest męczarnią. Mimo to Urban nie traci dobrego nastroju, cieszy się ze złotych medali niemieckich sportowców na Olimpiadzie w Atenach, dba o siebie, wkręca sobie między zęby "drzewko", stożkową drewnianą "śrubę", która ma spowodować, że sparaliżowana szczęka znowu zacznie działać. Zgrzyt piły do drewna. 30 września, po niezliczonych onkologicznych badaniach, Urban uświadamia sobie straszliwą prawdę: złośliwy nowotwór, rozwija się szybciej niż dotychczas. Narośle dochodzi do dziewięciu centymetrów średnicy, rośnie w krtani i jamie ustnej. Urban wybiega z wizyty u lekarza w Rosenheimie, wzburzony przemierza ulice miasta, gdzie ma swoje mieszkanie, siostra ledwie za nim nadąży, to strach, śmiertelny strach go gna. Przepadła ostatnia nadzieja.

Nic nie czuję, jedzenie i picie mają ten sam smak, zardzewiałych gwoździ, skarży się Urban. Wychudł na kość, waży 45 kilogramów. Ma coraz większe trudności z oddychaniem, sztuczna rurka w tchawicy wspomagająca oddech zachodzi co chwilę kleistą wydzieliną, w nocy dopadają go lęki przed uduszeniem. Głos zmienia się w charczący wydech. I ten nawracający ból, coraz ostrzejszy, coraz częstszy, coraz trudniejszy do wytrzymania. To piekło, jęczy Urban, rak mnie zżera, rośnie, pracuje przeciwko mnie. Spójrz na mnie, na moją głowę, na moją trupa czaszkę. To już tylko wegetacja. Jestem jak chore zwierzę. Jego własne ciało jest dla niego pułapką. Urban nie chce tak żyć. Nie chce tak umierać.

Lekarze zalecają radykalną chemoterapię, w celu zmniejszenia nowotworu, żeby ponownie ważyć się na chirurgiczny zabieg. Urban decyduje się na terapię, już dzień później ma głęboką depresję i ataki lęku. Któregoś ranka budzi się i przejeżdża palcem po górnej wardze. Wąsy, a był z nich taki dumny, odpadają jakby przejechał po nich papierem ściernym. Tego już za wiele. Po dwóch tygodniach przerywa terapię.

Któryś z przyjaciół trafił na adres jakiegoś cudownego uzdrowiciela. Siostra dzwoni do niego. Nie, mówi cudotwórca, tu nawet on nie jest w stanie pomóc. Urban ma powtarzające się napady wściekłości, mocuje się z losem. Dlaczego ja? Byle do Zurychu, jak najszybciej. Telefon do Ludwiga Minellego, sekretarza generalnego Dignitas. A 96, Lechwiesen, zajazd przy autostradzie. Krótka przerwa na kawę. Urban śpi.

Wściekają go kwiaty na parapecie. Jak one się panoszą z tymi czerwonymi dziobami jak u bocianów, włączą do jego sali, nienawidzi ich. Ta rozbuchana natura, rozkwita podczas gdy on się wewnętrznie rozpada. Natura jest bezwzględna, to takie niesprawiedliwe. Urban chce zrzucić kwiaty z okna.

Leży teraz w w klinice w Ebersbergu, stacja 1.1, sala P2, oddział medycyny paliatywnej na końcu ponurego korytarza pełnego drzwi do sal. Szpitalne łóżko, metalowa szafka nocna, kroplówka, stojąca lampa, na porcelanowobiałej ścianie wyblakłe akwarele, krajobraz alpejski latem z okrągłą wieżą, nuda. Paliatywna medycyna znaczy łagodne, bezszmerowe pożegnanie, "finalny" pacjent ma się możliwie bez bólu prześlizgnąć w śmierć. Ale to nie jest miejsce, gdzie śmierć jest łatwiejsza. Mimo że siostry i lekarze tak bardzo się starają.

Urban nie może już wcale jeść, te kilka kęsów, które udaje mu się przełknąć, coraz częściej po chwili wracają. Lekarz proponuje sondę dożołądkową, sztuczne odżywianie. Urban kategorycznie odmawia. Dość, wystarczy, to jakieś szyderstwo, lekarze już się wystarczająco na mnie wzbogacili. Chcą tylko przedłużyć męki. W coraz krótszych odstępach czasu prosi o środki przeciwbólowe. Na stoliku przy łóżku stoi figurka, którą przysłał mu chrześniak. Z wyrzuconymi ramionami w górę, jakby na znak przerażenia.

Dni wloką się bez końca. Cisza. Słyszczyć tylko kroplówkę, kropla za kroplą, przytłumiony daleki szmer z autostrady B 304, tykanie sekundnika. Okład nad rurką do oddychania wznosi się i opada. Drzemka. Sen. Koszmar.

Brat spędza dla towarzystwa kilka dni w klinice. A pamiętasz, Tuzla, szepcze Urban. O tym samym właśnie pomyślałem, mówi brat. Pierwsza wielka miłość w Jugosławii. Tuzla, wojna, okropności wojny. Bracia nie muszą dużo mówić, porozumiewają się w myślach. Żegnają wspólny raj, dzieciństwo.

Którejś nocy Urban budzi się z krzykiem. Jakiś mężczyzna napadł na niego we śnie i odgryzł mu kawałek policzka. Następnego dnia decyduje: chcę do domu. Może wreszcie skończy się ten horror. Bracia idą przez długi korytarz, obok pokoju pielęgniarek ktoś posadził dwóch bliskich śmierci starców. Jeden bez przerwy potrząsa wózkiem, na którym siedzi, drugi ssie dzióbek od filiżanki z dzióbkiem i wydaje się, że zamarł w tej czynności na zawsze. Uciekajmy stąd, byle jak najdalej, syczy Urban. 166 kilometr, Memmingen-Ost. Urban nadal śpi. Siostra bada puls, ciśnienie, temperaturę. Bez zmian.

Urban leży w sypialni matki, pod obrazem z modlącym się Jezusem na górze oliwnej, na przeciwko izby, gdzie w marcu 1958 przyszedł na świat. "Może dane mi będzie umrzeć w tym samym miejscu, w którym się urodziłem", myśli. W domu rodzinnym śmierć nie wydaje się taka straszna.

>>>Najbliżsi dowiadują się o jego postanowieniu<<<

Na konzolce cała bateria leków: oxygesic, novalgin, amitryptilin, plaster durogesic, dromabinol... ampułki z morfiną, siostra robi mu rano, w południe i wieczorem zastrzyki, w razie potrzeby również nocą. Korzysta też z pomocy dochodzącej pielęgniarki. Matka bez przerwy krząta się koło niego. Pomaga także ciotka Lisi, zabawia Urbana rubasznymi żartami. Codziennie wpadają koledzy, przyjaciele; z najbliższymi dzieli się swoją nieodwołalną decyzją. Wychodzą z pokoju z płaczem. Ale nikt mu nie odradza, każdy szanuje jego wolę, podtrzymuje na duchu. Nadchodzą mroczne dni listopada, mgła spowija gospodarstwo, z rozległych rżysk dochodzą krzyki wron. Ostatnie liście opuszczają korony drzew. W sam raz, stwierdza Urban. Czy to rodzaj czarnego humoru? Ale wracają pogodne słoneczne dni, jak na tę porę roku jest nadspodziewanie ciepło. Komary też jeszcze tną. Nocą, w ciemności gnębią Urbana, brzęczą, gryzą, otaczają go niczym nigdy nieustające męczybuły.

I znowu straszna noc. Śnią mu się bomby. Spadają na jego ulubione miasto, Dubrownik. Adriatyk zabarwia się krwawo. Spogląda na sad. Stara grusza, ta, którą ojciec przed czterdziestoma laty wzmocnił zaprawą murarską, bo zbyt dużo gruszek obciążało ją i popękała, teraz ciągle jeszcze rodzi owoce. Więcej w niej życia, niż we mnie, myśli Urban. Z rodzeństwem często wraca do tematu śmierci. I jak to będzie dobrze. I o Śpiącym Bracie, śnie na zawsze. I o najszybszym z możliwych rozwiązań: Urban wsiądzie do swojego mercedesa C 180, włączy na cały regulator ulubiony utwór - Slow down von Morscheeba - i na pełnym gazie staranuje najbliższe drzewo. Ale wszystkie rozważania kończą się na tym, że w samobójstwie potrzebna jest pomoc.

>>>Nie chce nazywać tego samobójstwem, "Selbstmord", "Freitod" znaczy "śmierć z wolnej woli"<<<

Te niekończące się debaty, denerwuje się. Ta nasza historia, naziści, mord na milionach Żydów, ciągle te same bezsensowne argumenty, to jakiś absurd. Tych ludzi spotkała bestialska śmierć, moja to moja własna decyzja, mam prawo do decydowania o sobie samym, czyż nie? To że nazistowska eutanazja stawiana jest na równi z humanitarną pomocą w godnej śmierci to bezsens, obraza człowieczeństwa.

Już choćby to słowo "samobójstwo". Urban nie chce być samobójcą. Wybiera godną śmierć, bo śmiertelna choroba i tak by go zabiła. Ma powód, nie ma bardziej autentycznego. I w dyskusjach z rodzeństwem ciągle wraca do tego samego pytania: dlaczego w Niemczech nie ma takiej możliwości? Dlaczego w tak beznadziejnej sytuacji jak moja zabrania mi się tego? Dlaczego to ma być przestępstwem? I jego odpowiedź: bo lekarze i księża i dewoci chcą decydować o czyimś życiu i śmierci. Bóg dał nam życie, tylko Bóg może je nam zabrać, Boże, dajcie już z tym spokój. Braciszku, obiecaj mi, że na moim pogrzebie nie będzie kościelnych zawodzeń, i żeby mi żaden kaznodzieja nie przemawiał. Niech mi zagrają kubańskie rytmy, życzę sobie, żeby mi grano jak na weselu, i po pogrzebie wszyscy się upijcie.

Ale w Niemczech nie zezwala się na humanitarną pomoc w umieraniu. Oszczędziłoby mu to podróży za granicę. To upokarzające, złości się Urban. Żeby tak mógł umrzeć w domu, marzy. Mijają Leuchtkirch, połowa drogi. Za oknami łagodne zielone pagórki, na horyzoncie widać już sięgające nieba alpejskie szczyty, coraz bliżej. Urban przebudza się na chwilę, uśmiechnięty. Do znużenia powtarza jedno i to samo pytanie: wszystko w porządku?

Dziś na chwiejnych nogach opuścił dom i obszedł ostatkiem sił rodzinne okolice, żeby jeszcze raz spojrzeć na ślady swojego dzieciństwa. Tylko im znane miejsce w lesie, gdzie rosły podgrzybki. Zjedzony przez korniki ul. Kapliczka przy drodze do Stadel z barokowym malowidłem ściennym przedstawiającym świętego Sebastiana, męczennika. I z powrotem do dziecięcego pokoju, gdzie bracia bawiąc się rzutkami wbijali je sobie wzajemnie w łóżka. Żegna się, decyzja zapadła, nieodwracalnie, ostatecznie.

Nie dla matki i rodzeństwa. Oni jeszcze nie pogodzili się z decyzją. Nie tracą nadziei, modlą się. Może zdąży umrzeć? Może zaśnie i już się nie obudzi? Śmierć go wybawi? Co wieczór siadają na ławie przed domem, palą, radzą, milczą, spoglądają na puste gniazdo bocianie nad stodołą. Ciągłe dopadają ich wątpliwości. Oczywiście, że chcieliby, żeby żył, wyzdrowiał, mógł się znowu śmiać. Pragną tego, bo przecież go kochają. I ponieważ go kochają, życzą mu szybkiej śmierci. Choroba Urbana bardzo zbliżyła rodzeństwo do siebie, jeszcze nigdy nie byli sobie tak bliscy. Nikt nie uskarża się na ciężar opieki nad chorym, jest przygnębiająca, często nieprzyjemna, ale, choć żadne z nich nie ma odwagi tego powiedzieć, również na swój sposób uszczęśliwiająca.

Urban oznajmia: następnej niedzieli chcę umrzeć w Szwajcarii. Dignitas to najlepsze wyjście, moje ostatnie prawo. Ale jak powiedzieć to matce? Wierzy w Boga, jest katoliczką, i nie wie nic o dyskusjach prowadzonych przez rodzeństwo od tygodni w tajemnicy przed nią. Mają skłamać, udać, że chodzi o jakąś wspaniałą klinikę w Appenzellu? Ależ nie, przecież sami są przeciwni takiemu rozwiązaniu, w żadnym wypadku, "turystyka śmierci" to nie dla nich. I tak siedzą wieczór w wieczór przed domem a ich rozmowy i myśli krążą wokół jednego. Ciągłe te same pytania, to samo poczucie bezsilności, ten sam dylemat. Czy mamy prawo zezwolić na to? Czy nie będzie to zabójstwo z litości? Czy w Zurychu naprawdę oczekuje go "godna śmierć"? Czy naprawdę nie ma żadnego innego wyjścia? Terapii dającej ulgę? Pięknego hospicjum? Więcej morfiny, dużo więcej, tak dużo, że świadomość odpłynie? Desperacko rozważają nawet, że mogliby się zdecydować wspólnie wstrzyknąć bratu śmiertelną dawkę a potem razem wziąć na siebie winę. Ale zaprzyjaźniony prawnik ostrzega ich, że mogliby być sądzeni każde z osobna. Rozpoznanie: zabójstwo na życzenie. A nawet: morderstwo zbiorowe.

Coś jednak zrobić muszą! Tylko że nie mają pojęcia co. Jednak hospicjum? W żadnym wypadku, Urban sprzeciwia się stanowczo. Informował się o hospicjach, nie jest w stanie znieść już choćby tego zakłamanego języka. "Pełne apetytu na życie umieranie" stoi w którejś z broszur. Szczyt kiczu, krzywi się. Stracił apetyt na życie. Niechby się to bezsensowne cierpienie wreszcie skończyło.

Urban to wasz ukochany brat, nie możecie go tak po prostu odstawić do Szwajcarii! Szwagierka dostaje ataku płaczu. Proponuje, żeby jeszcze skonsultować się z mężem siostry, internistą ze Stuttgartu. Jest przeciwny idei wspomaganej śmierci i namawia do intensywnej terapii środkami przeciwbólowymi w hospicjum. Nieoczekiwanie głos zabiera ojciec internisty. Jest odmiennego zdania. Również lekarz, towarzyszył już z tuzinowi nieuleczalnie chorych pacjentów w drodze do Zurychu, beznadziejne przypadki, starzy, samotni, śmiertelnie chorzy ludzie. Umierający, a zwłaszcza w młodszym wieku, powinien czuć się odpowiedzialny wobec tych, których zostawia, to nie tylko jego sprawa, nie jest sam. Mamy prawo do życia i mamy prawo do śmierci, ripostuje stary lekarz. To zdanie kluczowe, które i Urban ciągle powtarza.

Uporządkował swoje sprawy, napisał testament, pożegnał się z przyjaciółmi i kolegami z pracy, miastem, w którym mieszkał i mieszkaniem z widokiem na Alpy, ze swoim szczęśliwym o wiele za krótkim życiem. Ze wszystkim i ze wszystkimi. Pogodził się z losem.

>>>Rodzina postanawia złamać tabu i mówić o śmierci otwarcie<<<

Lekarze dają mu dwa tygodnie do pół roku życia, to będą okropne dni, i nie ma co liczyć na to, że zaśnie z wyczerpania, w jego organizmie toczy się walka, ma mocne serce, ciągle jeszcze jest silny, był świetnym narciarzem i piłkarzem. Nawet w chorobie nosi jeszcze swój żółty podkoszulek z cyfrą 10, Ronaldo, Brazylia. Nie martwcie się, jedziemy do Zurychu, pociesza Urban. Nie ma już żadnych wątpliwości, choć i on wolałby umrzeć inaczej. I zmienia temat. Mówi o wietrze. Zawsze lubił szum tego porywistego jesiennego wiatru nocą wśród

budynków gospodarstwa. Chciałby ulecieć razem z wiatrem, ponad dębowym lasem wprost do chmur i dalej w wieczne nic. Nie wierzy w życie pozagrobowe.

Wangen. Odległość zwiększa się. Albo zmniejsza? Countdown in den Tod, odliczanie aż do śmierci, myśli brat, gdy patrzy na licznik. I znowu szary, ponury dzień, mgła nie ustępuje nawet w południe. Urban, matka i brat stoją na nowym cmentarzu, muszą wybrać miejsce na grób. Urban wolałby właściwie, żeby jego prochy rozsypać nad morzem, lub do jeziora Zuryskiego. Ale to byłoby nie do zniesienia dla matki, której Urban już powiedział o swojej decyzji. Już samo to, że musi oddać bez walki swoje dziecko śmierci jest wystarczająco ciężkie do wytrzymania i że już wkrótce będzie tu leżał zupełnie sam. Nie wolałbyś leżeć przy ojcu? Pyta matka. Idą w kierunku grobu rodzinnego zaraz koło południowych drzwi kaplicy. Urban patrzy na marmurowy nagrobek i szepcze: Tak, wolę koło taty. Ale to nie jest takie proste. Bo w wydzierżawionym poletku bożym nie wolno już nikogo grzebać, jest przepełnione i zapada się, dlatego wybrano nowe. Czy można zrobić wyjątek? Brat pertraktuje z ratuszem. Kiedy? Jak? O kogo właściwie chodzi? Sekretarz gminy wysuwa wszystkie anteny. Jak mam to wytłumaczyć, markotnieje brat, i już słyszy złośliwe komentarze, słuszny sprzeciw bogobojnych mieszkańców ultrakatolickiego Sprengel. Ale jego rodzina postanowiła przełamać tabu i otwarcie postawić sprawę. Urban ma dostać miejsce obok swojego ojca. Ponieważ nie ma swojej własnej rodziny. Po nim nikt z rodziny nie będzie pochowany w tym grobie. Oprócz matki.

>>>Cappuccino na pożegnanie z przyjaciółmi<<<

Powrót do rodzinnego domu, obok starej szkoły, obok zamkniętego sklepiku, w którym zwykle można było kupić wszystko, obok domu burmistrza, obok porośniętego świerkami gospodarstwa sąsiada. To jak podróż w czasie, zamyśla się Urban, tego wszystkiego już tak naprawdę nie ma. Gdyby mogło mu się spełnić teraz jeszcze tylko jedno życzenie! Widzi się siedzącego w ogródku piwiarni pod różowo kwitnącymi kasztanami, sączy Radlemassa i delektuje się bułką z pasztetową. Jeszcze tylko raz w życiu zjeść porządnie, poczuć smak jedzenia, pasztetówki. Z kiszonym ogórkiem. Rodzeństwo znowu siedzi na ławce przed domem. Deszcz szeleści w bezlistnych gałęziach wiśni z drugiej strony podwórza. Zrywa się silny wiatr od zachodu. Nie zabiera ich brata.

Tymczasem Urban wysłał już pisemną prośbę o "towarzyszenie przy śmierci" do Dignitas. Rodzina ma nadzieję, że nie będzie odpowiedzi, jeszcze nie dziś, jutro też nie, i pojutrze. Żeby nigdy nie nadeszła. Może Urban zdąży umrzeć śmiercią naturalną. On jednak pyta co rano: Jest odpowiedź? Kiedy termin? 5 listopada przychodzi odpowiedź od pana Minelliego. Dignitas zawiadamia: Pana prośba jest rozpatrywana przez naszych lekarzy, "prowizoryczne zielone światło" już wkrótce, na razie proszę niezwłocznie nadesłać metrykę urodzenia, poświadczenie zameldowania, świadectwo stanu cywilnego i historię choroby.

Lindau. Przejazd do Jeziora Bodeńskiego bez żadnych przygód. Za Bregencją Jo nie zauważa zjazdu w stronę Szwajcarii. Nerwowe szukanie właściwej drogi. Wreszcie przejście graniczne w Diepoldsau. Celnicy przepuszczają furgonetkę, żaden nie ma ochoty zajrzeć za zaciągnięte zasłony. Most na Renie i wjazd na autostradę A13, i od tego momentu podróż mija błyskawicznie. Rorschach, Wil, Winterthur, Zurych. Jezioro błyszczący srebrzyście.

W wieczór przed podróżą do Szwajcarii Urban zaprosił na pożegnalne cappuccino z przyjaciółmi. Ma to być dla niego jednocześnie próbą generalną. Ostatnio często ćwiczył wypicie szklanki wody lub filiżanki herbaty i równie często krztusił się a płyn przelewał się pniąc się przez rurkę w szyi. Chce mieć pewność, że bez reszty przełknie swoją śmiertelną dawkę środka usypiającego, nie chce się w Zurychu przebudzić ponownie, lub zapaść w śpiączkę i wegetować jako warzywo. Lekarze musieliby go przewieźć z powrotem, gdyby nie stwierdzono zgonu. To jedyny słaby punkt programu. Ostatnie ryzyko. Przyjaciele gromadzą się wokół łóżka, piją kawę, słuchają muzyki. Dużo śmiechu, żarty, atmosfera nie do opisanego, coś w rodzaju smutnej wesołości, jeśli możliwe jest coś takiego. Uczucia narastają, Urban w samym środku, pogodny, spokojny, wspierany tą duchową niewzruszoną mocą, z którą zabiera wszystkich w drogę. A ciotka Lisi okazuje się ze swoimi opowieściami mistrzynią we wprowadzaniu w ars moriendi, sztukę dobrego umierania. Mój Boże, wzdycha, młodzi muszą umierać, my starzy musimy zostać, choć co z nas za pożytek. Żebyśmy się choć byli zamienić w szafy na ubrania!

Ktoś jeszcze raz pyta. Jesteś pewien? Sto procent! Żadnej wątpliwości, żadnego wahania, że śmiercią się nie zartuje. Nie tak łatwo trafić do willi Minello. Trzeba wjechać do Zurychu, przejechać przez środek miasta, wyjechać po drugiej stronie, pokonać wzgórze i na Forch, 385 kilometrów, godzina 15.30. U celu.

Ludwig Minelli otwiera drzwi od domu. Żywotny, 73-letni pan, czarna jedwabna apaszka, sprężysty krok. Mówi rzeczowo i krótko, nie sili się na filozofowanie nieznośne w takich okolicznościach. Urbanowi podoba się jego kolekcja czajniczków do herbaty. Szybko też łapie kontakt z lekarzem obecnym przy finalnej rozmowie. To, w przypadku przebytej drogi krzyżowej, wcale nie jest takie oczywiste, bo poznał lekarzy aż za dobrze, tych w Niemczech. Choćby ten wuzuty z uczuć chirurg, który operował go w Monachium-Grosshadern i który, na pytanie o szansę na wyleczenie, chłodno uciął: Ode mnie nie dostanie pan ani słowa na piśmie, wiem, co pan zamierza. Ale też jego domowy lekarz w Rosenheimie, rozsądny i otwarty, którego Urban cenił bardziej od wszystkich pozostałych.

Akurat on nie mógł złożyć mu domowej wizyty, oddalony o 35 kilometrów dom rodzinny Urbana był poza jego regionem. Albo lekarz domowy kuzynki, raczej przeciwnik wspomaganego samobójstwa, ale wyjątkowo empatyczny przedstawiciel swojego fachu, nie popierający wprawdzie decyzji Urbana, lecz w tej beznadziejnej sytuacji rozumiejący jego argumenty. Lub tamten lekarz, w klinice paliatywnej w Ebersbergu, również i on myślący i współczujący człowiek, szczęście dla skazanych na śmiertelną chorobę pacjentów. Z drugiej strony lekarka matki, która odmówiła wizyty u chorego i nie chciała przepisywać zwiększonej dawki morfiny. Pani brat nie przeżyje takiej dawki, upominała siostrę Urbana. Która, zbesztana jak szkolna uczennica, do dziś irytuje się na samo wspomnienie. Nie tylko dlatego, że miała za sobą 13 lat doświadczenia w pracy z chorymi, ale też dlatego, że dawkę tę zalecała fachowa pielęgniarka hospicjum wynajmująca pokój w domu rodziców i z poświęceniem opiekująca się cierpiącym Urbanem.

I wreszcie ten nasz wiejski lekarz, który, mówić oględnie, po prostu nie chciał pomóc. Siostra, idąc za radą pewnego onkologa, próbowała zdobyć dla brata olej konopny, wyjątkowo skuteczny w napadach paniki, przywracający psychiczną równowagę. Ale ten środek kojarzy się z narkotykami i w uszach wiejskiego lekarza widocznie brzmi jak prośba o haszysz. Siostra zwróciła się do niego, bo jego praktyka była najbliższą, zaoszczędziłoby to czasu i pieniędzy. Jednak wiejski lekarz odmówił. Dlaczego? "Nie jestem dealerem!" Ale teraz wszystko to nie ma już znaczenia. Urban podnosi się z miękkiej kanapy w saloniku z kominkiem u Minello. Zna więc już procedurę, przez którą musi przejść następnego dnia, w najdrobniejszych szczegółach. Jeszcze jedna noc życia. Jeszcze tylko jedna noc umierania.

Hotel "Goldener Brunnen", "Pod Złotą Studzienką", Rotachstrasse 33. Dość podrzędne miejsce na nocleg, na parterze knajpa, podejrzane figury, tłusty facet w białych szelkach, kelner ze Sri Lanki w poplamionym fartuchu. Dlaczego zalecone przez Dignitas ostatnie miejsce pobytu musi być tak podłe, zastanawia się siostra.

Widocznie, bo tu nikt nie stawia głupich pytań. Goście - pijacy, ćpuni, menele - pochłonięci są swoją biedą. Recepcjonistka jest miła i dyskretna, pochodzi z Cypru, jej ojciec zmarł na raka krtani, opowiada. Ona też nie wypytuje o nic. Wie o co chodzi.

>>>Diakon jest przeciwny wspomaganemu samobójstwu, mimo to udziela duchowego wsparcia<<<

Pokój nr 15, brunatne stare meble, na dywanie ślady gaszenia papierosów, obraz na ścianie przedstawia rozneglizowaną kobietę z białym kotem. O ósmej wieczorem rozdzwania się komórka. Dignitas melduje się. Kiedy mają na następny dzień się zjawić? Jak najpóźniej, prosi siostra. O 14? Tak, ok.

Rodzeństwo trzyma się za ręce. Leżą obok siebie na podwójnym nierównym od wielokrotnego używania łóżku, patrzą w sufit lub w zaśniedziałe lustro na ścianie, milczą, śmieją się, płaczą, opowiadają sobie historyjki z dzieciństwa. Urban nie śpi do czwartej nad ranem. Jest całkowicie spokojny, odprężony. Ostatnie śniadanie, kawa, łyżeczka jajka na miękko. Może pójdziemy jeszcze nad jezioro? Wypijemy cappuccino? - pyta siostra. Nie, po co? -

odpowiada Urban.

Śpi całe rano. Siostra i przyjaciel wychodzą na zmianę przejść się, brat włóczy się półprzytomny uliczkami starego miasta. Koło południa Urban jednak chce coś wypić, campari z sokiem pomarańczowym. To już ostatnie ćwiczenie z przelykania. Potem znów zasypia. 13.55, Gertrudstrasse 84. Herr W., student teologii, który będzie towarzyszył Urbanowi w ostatnich minutach życia, zapomniał klucza od mieszkania, gdzie Urban ma umrzeć, trucizny też jeszcze nie ma. Cóż za okropne niechłujstwo, umieranie się przeciąga, śmierć trzeba odłożyć na później. Boję się, szepcze siostra, czuję się jakbym zawisła 300 metrów nad ziemią. Rodzeństwo jest oburzone, wstrząśnięte, na granicy wytrzymałości. Zdenerwowanie mija w obliczu niczym niezachwianego pogodnego nastroju ich brata. Opiera się o samochód i mruży oczy w słabych promieniach listopadowego słońca. Cóż znaczy sześćdziesiąt minut więcej czy mniej życia i cierpienia? Mobilizuje ostatnie siły potrzebne na spotkanie ze śmiercią.

W domu, w rodzinnej kuchni, w godzinie śmierci zebrali się wokół matki najbliżsi krewni, żeby wraz z katolickim diakonem odmówić różaniec. On także odrzuca, zgodnie z dogmatem, każdą formę wspomaganą śmierci, to grzech śmiertelny. A jednak nie wyklina Urbana, robi, co do duszpasterza należy: udziela duchowego wsparcia. Zurychowi bliżej do miłosierdzia niż Watykanowi. Po nieskończonej długiej półgodzinie czekania drzwi się otwierają. W korytarzu wisi obrazek, karykaturka, jakiś człowieczek stoi na wierzchołku góry i trzyma flaszeczkę z trucizną, w dole lekarze otoczeni medycznymi aparatami oferują mu świeże organy zastępcze, nerkę, wątrobę, serce. Pokój ma może dwadzieścia metrów kwadratowych. Fotel, szafka nocna, pięć krzeseł, okrągły stół nakryty granatowym obrusem, świece, przywiedła róża, na ścianie olejny obraz. Tyłem odwrócona kobieta w czerwonej sukni patrzy w stronę lasu. Obok odtwarzacza CD leży płytka CD, Vivaldi, "Cztery pory roku". W kącie na stojaku cicho terkocze kamera video, wszystko, co wydarzy się od tej chwili, będzie nagrane, dla pewności, że wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

>>>Siostra otwiera okno, żeby dusza mogła ulecieć<<<

Wchodzi Ludwig Minelli. Jeszcze raz upewnia się, czy pacjent jest w pełni swoich sił umysłowych. Urban jest całkowicie przytomny, już godziny temu odstawił morfinę, nie czuje bólu, jego ciało przeszło już próg przygotowań do śmierci, poddaje się zbawczej agonii. Jeśli ktoś w tym łańcuchu decyzyjnych wydarzeń poczuje się źle, przerywamy proces, objaśnia prawnik Minelli. Otwiera tym samym wyjście awaryjne, można się jeszcze wycofać, jeszcze nie jest za późno.

Ale Urban nie chce się wycofać, pragnie się uwolnić, teraz, zaraz. Nie ma już siły na przeczytanie zgody na wspomaganą śmierć, siostra odczytuje mu ją głośno i wyraźnie. Urban potakuje głową. Podpisuje. Odsyła roztrzęsionego brata z przyjacielem z pokoju. Uwalnia ich, bo czuje, że nie byliby w stanie znieść tego.

Zostaje tylko siostra i student teologii. Urban siada na skraju łóżka, Herr W. wsypuje środek nasenny do szklanki z wodą, 15 gramów natriumpentobarbitalu, śmiertelna dawka. Urban sięga drążą ręką po naczynie, podnosi do ust, opróżnia w trzech, czterech mocnych łykach i opiera się o lewe ramię swojej siostry, Herr W. klęka przed nim. Urban kładzie palec wskazujący na usta. Nie mówi nic, tylko krótkie "Psssst!". Po dwóch minutach zasypia, siostra kładzie go na łóżko i przytrzymuje za rękę. Rysy Urbana łagodnieją, uśmiecha się, jak od marca nigdy. Pokonał raka. Rozerwał łańcuch cierpienia.

Po niespełna dziesięciu minutach oddech ustaje. Po szesnastu minutach siostra nie wyczuwa pulsu. Jest 16.06, 26 listopada 2004 roku. Siostra chwiejąc się robi krok w kierunku okna, otwiera je szeroko, żeby dusza jej brata mogła wylecieć.

Lekarka sądowa bada ciało i potwierdza zgon. W przedpokoju dwóch policjantów przepytuje rodzeństwo. Prokurator z urzędu wypełnia na miejscu protokół dotyczący zgonu, żeby wykluczyć późniejsze dochodzenia sądowe.

Trzy tygodnie później urna z prochami Urbana trafia do urzędu celnego w Monachium. Zostaje przewieziona do kaplicy cmentarnej w R. W czasie pogrzebu jeden z przyjaciół gra na flecie poprzecznym. Pogodne melodie z Kuby. Na nagrobku wypisany jest wiersz Rainera Maria Rilke.

Wielka jest śmierć.

Jesteśmy w jej mocy z uśmiechem na ustach.
Kiedy wydaje nam się, że jesteśmy w środku życia.
Ma odwagę zapłakać w środku nas.

O ostatniej podróży Urbana w katolickiej gminie po dziś dzień nie padło ani jedno złe słowo.

*

Nagroda im. Henriego Nannena dawniej Egon Erwin Kirscha w 2006 roku w kategorii "NAJLEPSZY REPORTAŻ"
(przekład Ela Binswanger, wiersz przełożył Maciej Froński)